



Stefan Grabiński

SZALONY
PATNIK

opowieści niesamowite

Szalony pątnik

[Kup książkę](#)

Stefan Grabiński

Szalony pątnik

opowieści niesamowite

Armoryka

[Kup książkę](#)

Redaktor tomu: Marta Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

© Wydawnictwo ARMORYKA 2016

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-186-0

[Kup książkę](#)

PROBLEMAT CZELAWY

Onegdaj po południu o zwykłej godzinie ordynacyjnej przyjąłem nową pacjentkę: swą wizytą zaszczyliła mnie, początkującego neurologa, pani Wanda Czelawa, żona powszechnie znanego profesora dr S. W. Czelawy, który od szeregu lat, zajmując katedrę w naszym mieście, zdobył sobie sławę wybitnego badacza z dziedziny psychopatologii.

Zjawienie się tej pięknej, ujmującej słodyczą wyrazu kobiety zdziwiło mnie niezmiernie. Nie mogłem zrazu pojąć, dlaczego nie zwróciła się po radę lekarską do męża, który prawdzie w ostatnich czasach ograniczył się niemal wyłącznie do sfery teoretycznych dociekań, mimo to jednak niewątpliwie w tym wyjątkowym wypadku zrobiłby ustępstwo. Dopiero zwierzenia jej, pozostające w ścisłym związku i domniemaną chorobą nerwów, rzuciły nowe światło na pobudki tego kroku. Objawy towarzyszące rzekomej chorobie nosiły istotnie tak specjalny charakter, że pani Wanda nie tylko nie mogła, owszem, nie powinna była szukać pomocy męża.

Z właściwą kobietom subtelnością uczuć zrozumiała, że jakiegokolwiek wynurzenia w tym kierunku niechybnie by go obraziły, dotykając boleśnie pewnych strun duszy. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie podczas pierwszej rozmowy, ona bowiem, wyczytawszy w mych oczach zdumienie wywołane niespodziewaną wizytą, pośpieszyła nie-

zwłocznie wyjaśnieniem. Co do mnie, sądziłem, że ewentualne rewelacje przed profesorem raczej by go zaniepokoiły co do własnej osoby; od razu zbudziło się we mnie podejrzenie, że „chorobliwe symptomy”, jakie pacjentka przypisywała sobie, należałoby poddać wprost przeciwnej orientacji i przenieść je na męża. Mimo głębokiego przekonania „chorej” powziąłem krańcowo odmienny pogląd na sprawę. Lecz nie chcąc przed czasem niepokoić biednej kobiety, udałem, że „cierpienia” pojmuję w ten sam sposób, określając je poddanym mi przez nią szablonowym terminem jako „lekki rozstrój nerwów, połączony ze sporadycznymi objawami halucynacji wzrokowej”. Naturalnie zaleciłem też odpowiednie zabiegi, nie omieszkując prosić o zdawanie mi sprawy od czasu do czasu z wyników kuracji. Na tę niewinną mistyfikację pozwoliłem sobie bez szczególnych wyrzutów sumienia, gdyż w rzeczy samej chciałem zaradzić, jeśli nie urojonej według mnie chorobie, to czemuś innemu, co prawdopodobnie kryło się poza tym.

Dziwnym bowiem zbiegiem wypadków parę dni przed konsultacją zaobserwowałem coś, co zwróciło moją uwagę na profesora Czelawę. Chociaż osobiście nie znaliśmy się dotąd, niejednokrotnie w czasie mych studiów uniwersyteckich słuchałem jego głębokich a oryginalnych wykładów. Mówił wtedy niemal wyłącznie o anormalnych zjawiskach z dziedziny chorób psychicznych. Gruntowna wiedza tego stosunkowo młodego uczonego połączona z genialną intuicją w wyświetlaniu subtelnych i zawiłych problemów zdumiewała mnie zawsze, budząc bezwzględny dlań szacunek i uwielbienie. Nieraz zastanawiałem się nad bogactwem zebranego przezeń materiału, który ujęty w szerokie, wolne od akademickiej pedanterii ramy, tętnił gorącą krwią rzeczy osobiście przeżytych.

Gdzie i kiedy mógł ten człowiek obserwować te ponure objawy duszy ludzkiej, te nad wyraz przykre, czasem odrażające obrazy, z których bił czad obłąkań i zbrodniczości? – Oto pytania, które nasuwały się często podczas lekcji profesora.

Potem gdy stosunek mój z wszechnicą rozluźnił się, gdy zacząłem pracować samodzielnie jako praktyk, zapomniałem o Czelawie i jego erudycji. Osobiście też nie zbliżyłem się doń ani razu i jestem niewzruszenie pewny, że nie znał mnie nawet z widzenia; wiecznie roztargniony, ciągle zajęty ukochanym przedmiotem, nie zwracał uwagi na słuchaczy i nieraz popełniał zabawne pomyłki co do nazwisk Uczniów. Zresztą słuchałem go z amatorstwa raczej niż z konieczności, gdyż specjalny kierunek jego badań nie pozostawał w bezpośredniej styczności z moimi studiami.

Dopiero tydzień temu przypadkowe spostrzeżenie zmusiło mię do skupienia uwagi na tym ciekawym człowieku. Szczególnym zbiegiem okoliczności przed paru miesiącami sprowadził się Czelawa wraz z żoną do domu, w którym mieszkam już od roku. Zajął mieszkanie wspańiałe, rządzone z wyjątkowym przepychem i zbytkiem. Moje pokoje znajdują się tuż nad nim na pierwszym piętrze, tylko dwukrotnie złamana linia schodów przedziela mnie i uczonego.

Dzięki niespodziewanemu sąsiedztwu odżyło zainteresowanie, które niegdyś we mnie budził; mimo woli też zajmowałem się nim więcej niż innymi lokatorami.

Wkrótce spostrzegłem, że tryb życia profesora jest nader regularny; z nieubłaganą ścisłością po godzinie ósmej rano opuszczał mieszkanie i siedł na prelekcje, z których wróciwszy koło południa, znów koło trzeciej spieszył zapewne jak dawniej do laboratorium; wieczory zwykle poświęcał żonie, spędzając czas w jej towarzystwie w sąsiedniej kawiarni lub na przechadzce; przed wieczorem był już

Czelawa w domu i nigdy nie udało mi się zauważyć, by wracał 5źniejszą porą; zdaje się, że rozrywek nocnych i przedstawień teatralnych nie uznawał. Sądziłem, że życie w tak surowo przestrzeganych normach było dla młodej i pięknej kobiety, jak żona Czelawy, czasami nader przykre i wymagało dużo zaparcia się i rezygnacji. A jednak pani Wanda zdawała się nie odczuwać zupełnie monotonii; twarz jej była zawsze pogodna, a ciemne fiołkowe oczy błyszczały szczęściem, gdy wsparta na ramieniu męża przechadzała się długich alejach miejskiego parku; i nieraz słyszałem w klatce schodowej jej metaliczny śmiech, gdy koło godziny pół do ósmej wieczorem razem wracali do domu.

Wkrótce potem światło w mieszkaniu Czelawy gasło i cały dom pogrążał się w bezwzględnej ciszy; profesor znać lubił wczesny spoczynek.

Tak jednostajnie upływało zewnętrzne życie uczonego, nieprzerywane odwiedzinami znajomych, niemączone żadną dystrakcją, żadnym choćby najlżejszym odstępstwem od codziennej reguły.

Dopiero tydzień temu, a trzy dni przed wizytą pani Wandy, zauważyłem pewien fakt, który przekonał mię, że albo obserwacja nie była dokładną, lub też zaszła jakaś zmiana w dotychczasowym trybie życia Czelawy. Było to w ubiegły czwartek.

Znużony całodzienną pracą zabawiłem tego wieczora nieco dłużej w amerykańskim barze i dopiero po dziesiątej udało mi się wymknąć z wesołego grona przyjaciół. Czas był chłodny, deszcz lał strugami, wiatr smagał nielitościwie. Z trudem brnąc po wodzie, dotarłem do domu i już miałem wejść do środka, gdy wtem drzwi wchodowe kamienicy otworzyły się i na progu ukazało się jakieś podejrzane indywiduum.

Spostrzegłszy mnie, nieznajomy szybko nacisnął na czoło szeroki, czarny kapelusz i oddalił się, lekko utykając, w kierunku miasta.

Stało się to tak prędko, że nie zdołałem dokładniej przypatrzeć mu się mimo szczerej ku temu chęci; zdawało mi się bowiem, że nie bardzo był rad ze spotkania. Mimo to przez błyskawicznie krótką chwilę mogłem widzieć profil twarzy, który mi dał dużo do myślenia: miałem wrażenie, że wychodził z domu Czelawa. Niebawem jednak uznałem przypuszczenie za zbyt niedorzeczne: było zbyt ciemno, by móc rozróżnić rysy, a wszelkie domysły w podobnych warunkach są nader ryzykowne. Zresztą strój nieznajomego, bardzo zaniedbany, niemal nędzny, wykluczał coś podobnego. Dziwiło tylko, że otworzył sobie bramę sam, gdyż słyszałem wyraźnie zgrzyt klucza; widocznie więc musiał to być jeden z mieszkańców, któremu gospodarz pozwolił klucz dorobić; z drugiej strony jednak zdziwił mnie jego podupały wygląd; jak na lokatora naszej kamienicy był stanowczo zanadto obdarty. Lecz koniec domysłom położyła coraz mocniejsza ulewa; przestałem oglądać się za znikającą na zakęcie ulicy postacią i korzystając z tego, że zagadkowy gość czy współmieszkaniec drzwi za sobą w pośpiechu nie zamknął, wszedłem do wnętrza domu i wkrótce potem znalazłem się u siebie.

Nazajutrz rano serdecznie śmiałem się z wczorajszego spotkania i swoich przypuszczeń. I byłbym niezawodnie zapomniiał o nocnej przygodzie, gdyby nie pojawienie się u mnie pani Czelawowej w trzy dni potem.

To, co wtedy od niej usłyszałem, zastanowiło mnie nadzwyczajnie, naprowadzając na domysł, że może przecież zupełnie się pomyliłem.

Pożegnawszy pacjentkę, jeszcze tej samej nocy zabrałem do wyświetlenia sprawy. Wiedziony przecuciem, że

„cierpienia” pani Wandy pozostają w pewnym związku z moim rzekomym „przywidzeniem”, wyszedłem z mieszkania tuż po dziesiątej na platformę schodową i przechyłony przez balustradę czyhałem na korytarzu pierwszego piętra, Oczekiwanie nie zawiodło. Gdy już pogasły światła, usłyszałem pod sobą ciche skrzypnięcie drzwi i ostrożnie skradając się kroki: ktoś schodził po schodach w dół. Korzystając z szelestu, jaki mimo wszystko wywoływał ten oględny chód, i ja zszedłem powoli na dół, by tu zobaczyć rysującą się na tle szyb bramy wchodowej ciemną sylwetkę mężczyzny; nie ulegało wątpliwości – było to to samo wydarte indywiduum sprzed tygodnia. Otworzył sobie kluczem drzwi i zatrzymał się na chwilę wejścia, pilnie coś przeglądając na dłoni. Cichy dźwięk metalu przesuwanego palcami ułatwił orientację: przeliczał pieniądze na wychodnym.

Wtem, jakby nie dowierzając oczom, podniósł monetę światło i odchyliwszy głowę wstecz, badał jej wartość. Skutkiem tego twarz znalazła się w promieniu światła gazowej latarni tuż obok domu i wtedy nabrałem przekonania, że nieznanym jest Czelawa lub też ktoś łudząco podobny. Na razie mi to wystarczyło i zawróciłem na górę. Tu wyciągnąwszy się wygodnie na sofie, zacząłem analizować ciemną jeszcze dla mnie sprawę.

A zatem – profesor czy jego fizyczny sobowtór wymyka się nocami z domu w sposób tajemniczy, ukradkowy i widocznie wcale nie życzy sobie, by go po drodze spotkać. Może czynił to już i przedtem od szeregu miesięcy, lat dopiero przypadek zdradził mi jego wycieczki?

Lecz w jakim celu i dlaczego w tak lichym stroju? Atoli właśnie to przebranie stanowiło punkt łączny ze mierzeniami jego żony i skłoniło mnie do stwierdzenia tożsamości

nocnego włóczęgi z Czelawą. Bo oto czego dowiedziałem się podczas pierwszej konsultacji z ust profesorowej.

– Od pewnego czasu – mówiła znękana kobieta – ulegam przykrej nad wyraz halucynacji, którą muszę przypisać moim chorym nerwom. W ubiegłą środę udałam się wcześniej na spoczynek, lecz nie mogłam zasnąć mimo wysiłków. Noc była jasna i księżycowe światło padało do sypialni pełnymi strugami. Już chciałam wstać, by zapuścić roletę, gdy wtem drzwi od pracowni cicho otworzyły się i nade mną pochyliła się jakaś postać. Krzyknęłam, instynktownie szukając ręki śpiącego na sąsiednim łóżku męża. Znalazłam ją trupio zimną, jak zwykle u niego podczas snu – lecz Stach nie obudził się. Tymczasem nieznajomy odwrócił się twarzą ku światłu i wtedy z bezgranicznym przerażeniem spostrzegłam, że człowiekiem stojącym w nogach mego łóżka jest mąż w dziwnie zniszczonym ubraniu.

Patrzył na mnie wzrokiem, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam: był w nim ohydny cynizm i lubieżność.

Jak sparaliżowana nie mogłam dzwignąć się z łóżka i odpędzić wizji. Wreszcie z ciągle tym samym zwierzęcymi uśmiechem na ustach cofnął się w głąb pokoju i znikł z powrotem w gabinecie. Po paru minutach usłyszałam, jak ktoś otwierał drzwi od pracowni i wychodził na korytarz. Potem wszystko ucichło.

Przez cały czas bez przerwy trzymałam kurczowo, ścisnąc rękę męża; spał snem kamiennym. Gdy widmo rozwinęło się, zapaliłam lampę, by przekonać się, że Stach spoczywa, rozebrany, tuż obok w głębokim jak zwykle uspieniu. To właśnie umocniło mnie w przekonaniu, że to, co widziałam i słyszałam, było chorobliwą halucynacją nerwów. Od owej nocy powtórzyło się to samo jeszcze dwa

razy i z nieopisanym strachem oczekuję codziennie chwili zbliżania się nocnego spoczynku.

– Czy zwierzyła się pani z tym mężowi? – zapytałem, gdy przestała opowiadać.

– Nie, jakaś szczególna trwoga wstrzymuje mnie od tego kroku. Gdyby przedmiotem halucynacji był kto inny, nie on właśnie... pan rozumie?

– Tak, łaskawa pani ma najzupełniejszą rację. Nie trzeba mu o tym mówić; właśnie dlatego. Wyjątkowa sytuacja... W tej sprawie jesteśmy zdani wyłącznie na własną pomoc; nie można go wtajemniczać.

I tu zaleciłem parę nic nieznaczących środków lekarstw na uspokojenie nerwów, prosząc na wypadek powtórzenia się „wizji” o bezzwłoczną relację.

O ile zrazu żywiłem jeszcze pewne wątpliwości co do stanu nerwów pani Czelawowej, przypisując, choć w części rozstrojowi „zmoreń” nocną, teraz nabrałem przekonania, że nie ma tu mowy o jakiejś chorobie: halucynacja postępowała stanowczo miejsca zagadkowej rzeczywistości. Wszystko było faktem bez wątpienia dziwnym, niemniej realnym.

Z takiego ujęcia rzeczy wyniknął tajemniczy wniosek: należało przyjąć bezwarunkowo obok osoby profesora Stanisława Władysława Czelawy istnienie drugiego osobnika, zupełnie doń podobnego, który zdradzał wyraźną skłonność płciową ku jego żonie. Właśnie ten objaw natury seksualnej zaobserwowany od razu przez nią nie pozwalał na inną hipotezę. Mimochodem uczyniona wzmianka o niezwykle twardym śnie męża i lodowo zimnych „jak zwykle u niego podczas snu” rękach początkowo zdeorientowała mnie i chwilami myślałem, czy przypadkiem nie wchodzi tu grę coś w rodzaju duchowego sobowtóra, czyli tak zwanego dwójnika. Lecz po głębszej rozwadze odrzuciłem to tłu-

maczenie jako zbyt fantastyczne i niezgodne z poglądami lekarza. Jakoż przyszłość wykazała, że miałem słusność.

Chodziło tylko o stosunek, jaki łączył profesora z jego sobowtórem fizycznym. Nasuwało się pytanie, czy w ogóle wiedział o jego istnieniu, a jeśli wiedział, dlaczego nie starał się przeszkodzić niebezpiecznemu zbliżeniu. Wszystkie te kwestie jednak mogłem rozwiązać tylko pomocy jego żony, której dłużej nie należało wprowadzać w błąd; owszem, obowiązkiem mym było wyjawic swe podejrzenia i skłonić ją do współpracy nad rozwikłaniem tajemnicy.

Dlatego z niecierpliwością oczekiwałem jej przybycia. Nastąpiło niebawem, bo w dzień po stwierdzeniu wycieczek „sobowtóra”.

Profesorowa przysłała jeszcze bardziej niż poprzednio zdenerwowana: „halucynacja” powtórzyła się znowu ubiegłej nocy, przybierając formę tym groźniejszą, że wzrok „męża” stał się natarczywszym.

Widząc, że biedna kobieta uważa się za poważnie chorą, bezzwłocznie powiedziałem, co myślę o rzekomej wizji. Sąd mój, oparty na dwukrotnej obserwacji, zrobił ogromne wrażenie.

– Ależ, panie doktorze – mówiła zmienionym z przerażenia głosem – coś podobnego byłoby okropnym. Istnienie sobowtóra z krwi i kości, wkradającego się nie wiadomo jak do domu człowieka, który fatalnym przypadkiem jest doń łudzaco podobny, byłoby rzeczą potworną. Zaklinam pana na wszystko – proszę nie taić prawdy; widząc, jak zaniepokojona jestem stanem mych nerwów, zapewne chciał pan zasugestionować moje obawy, przesuwając właściwe przyczyny zjawiska na coś innego. Lecz środek zawiódł. Wszak widzi pan, że przestrach mój, gdybym nawet wzięła pańską interpretację za dobrą monetę, zmieni tylko pobudki, nie tracąc mimo to nic na swej sile.

– Niestety, łaskawa pani, nic na to nie poradzę. To, co powiedziałem, jest moim najgłębszym przekonaniem. Człowiek taki według mnie istnieje. Mówiłem szczerą prawdę. Jeśli zaś dotąd nie zawiadomiłem odnośnych władz, stało się to tylko przez wzgląd na osobę męża pani.

Słowa moje, wypowiedziane spokojnie, tonem niekłamnego przekonania, zachwiały znać wątpliwości pani Wandy. Oparła zamysłone czoło na ręce, spoglądając na mnie wzrokiem złęknionego ptaka.

– Doktorze – zapytała po chwili milczenia – wyraża się pan zagadkowo. Co rozumie pan przez owe względy, które wstrzymują go od rewelacji publicznej?

– A któż nam zaręczy, czy profesor istotnie nie wie nic o istnieniu tego człowieka?

– Jak to?! – zachnęła się gwałtownie – przypuszcza pan, że pozwoliliby na to, co się dzieje?

– Nie wiem, nic nie wiem, łaskawa pani. Są tylko domysły, niepewne supozycje. Sądzę jednak, że w życiu męża jest jakaś tajemnica, której nikomu, nawet pani, nie może czy nie chce wyjawić. Nie zapominajmy, że jest uczonym. Lecz jeśli już mam skutecznie zająć się tą ciemną sprawą, muszę zadać parę zasadniczych pytań: będą może zbyt niedyskretne, lecz uważam je za konieczne. Zresztą proszę pamiętać, że jestem lekarzem.

– Słucham pana, doktorze.

– O której państwo udają się na spoczynek?

– Mąż punktualnie o ósmej wieczorem. Ja, o ile nie jestem znużoną, czytam jeszcze przez godzinę. O dziewiątej bywam już w łóżku.

– O której wstaje mąż?

– Punktualnie o ósmej rano. Ja zwykle wstaję wcześniej, koło siódmej, by przygotować śniadanie.

– Czy nie odstąpili państwo kiedyś od tej reguły?

– Od czasu dziesięcioletniego małżeństwa ani razu, pod m względem Stach jest nieubłagany.

– Hm... Czy nie zastanawia trochę ta nie ugięta niczym punktualność?! Równo dwanaście godzin snu i znów dwanaście godzin stanu jawy.

– Istotnie, w pierwszych latach naszego pożycia było trochę trudno nagiąć się do tego trybu, lecz z czasem przyzwyczaiłam się.

– Wspomniała pani, że ręce męża podczas snu są zwykle lodowato zimne. Czy nie dostrzegła pani innych jeszcze objawów?

Ostatnie pytanie było widocznie bardzo niemiłe, przypominało coś, o czym by się chciało zapomnieć.

Po chwili wahania odpowiedziała:

– Rzeczywiście, mąż mój w uspieniu sprawia dziwnie przykre wrażenie. Przez całą noc ani na chwilę się nie budzi i wygląda jak martwy: ciało jest przerażająco zimne, nie słychać oddechu, serce przestaje uderzać. Pamiętam okropną noc, gdy to po raz pierwszy zauważam. Myślałam, że nagle umarł. Moje rozpaczliwe wołanie o pomoc zbudziły sąsiadów; natychmiast wezwany lekarz okazał się bezradnym i stwierdził śmierć. Może pan wyobrazić sobie moją radość, przestrah i zdumienie, gdy równo z godziną ósmą rano mąż podniósł się z posłania zdrów i trzeźwy jak zwykle. Lecz i do tego przyzwyczaiłam się powoli.

Słuchałem jej zwierzeń ze wzrastającym ciągle zajęciem.

– Rewelacje pani – zauważyłem – noszą piętno czegoś tak niezwykłego, że chwilami skłaniałbym się do przyznania racji spirytystom. Lecz ponieważ nie mam przekonania do ich teorii, przeto mimo wyraźnych symptomów kataleptycznych u męża łaskawej pani poszukam innej drogi do zbadania prawdy. Nie wierzę przynajmniej w tym wypadku

w istnienie tak zwanego sobowtóra astralnego, dwojnika. Lecz aby ten problem rozwiązać, muszę dokładnie przypatrzyć się owemu indywiduum. Czy widziała pani twarz jego przy wyraźnym świetle? Nie próbowała pani ani razu podczas „halucynacji” zapalić lampy?

– Niestety. Byłam zbyt przerażona, by odważyć się na coś podobnego: nie śmiałam ręki wyciągnąć przed siebie.

– Otóż to właśnie. Obojeśmy widzieli niedokładnie: pani przy niepewnym blasku księżyca, ja przy mdłym świetle latarni i z daleka. Trzeba to naprawić.

– Panie doktorze, ja nie mogę dłużej narażać się na podobne eksperymenty; za dużo by mnie kosztowały. Jeśli pański pogląd na rzecz jest słuszny, grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Sama nie wiem, jak postąpić. Może by wszystko powiedzieć mężowi i drogą policyjną uwolnić się od natręta?

– A jeśli profesor wie o tym człowieku, z którym może pozostaje w specjalnym stosunku? Nie, łaskawa pani, tego na razie czynić nie można.

– Więc co robić, co robić?!

– Jedyne wyjście, zdaniem moim, jest następujące: gdy mąż zaśnie, proszę zostawić światło w sypialni, samej zaś spędzić noc w innym pokoju, zamknąwszy się szczelnie na klucz. Nie sądzę, by odważył się na wyłamanie drzwi: to by narobiło dużo hałasu i zbudziło cały dom: mimo zuchowałości względem pani człowiek ten jednak widocznie nie wyzbył się całkiem środków ostrożności i liczy się z nieprzyjemnymi ewentualnościami. Ponadto proszę mieć pod ręką broń na wszelki wypadek. Lecz jestem pewny, że na razie będzie niepotrzebna. Naturalnie nad ranem, koło siódmej, powróci pani do sypialni, by nie budzić podejrzeń męża.

– Dziękuję panu, doktorze, czuję, że rada znakomita.

– Tylko tymczasowa – znajdę lepszą w przyszłości. Lecz przejdźmy do dalszych kwestii. Wygląd zewnętrzny profesora znam doskonale; miałem sposobność przypatrzeć mu się doskonale niegdyś podczas wykładów i w ostatnich czasach dzięki bliskiemu sąsiedztwu. Niemniej sędzę, że mąż mnie nie zna z widzenia.

– Jestem tego pewną. Nie zwraca uwagi na otoczenie, tym mniej na ludzi, z którymi nie utrzymuje stosunków towarzyskich.

– Właśnie. To samo i ja zauważyłem. Bardzo mi z tym na rękę.

– Czy zamierza go pan śledzić?! – zapytała trochę pewniej

– Muszę; to mój jedyny środek. Proszę się nie obawiać, potrafię być dyskretnym. Lecz nie odbiegajmy od tematu. Zdaje mi się, mąż utyka lekko na jedną nogę?

– Tak, na prawą.

– Czy powód znany pani?

– Owszem. Uległ podobno w młodości wypadkowi, po którym pozostały wyraźne ślady: na prawym biodrze ma szeroką bliznę.

– Hm... tak. Czy była pani kiedyś w pracowni profesora, z której wychodzi i gdzie znika jego „sobowtór”?

– Nie. Tam nie wolno mi wchodzić.

– To dziwne. Więc przecież mąż ma swe tajemnice. Czyż nie starał się umotywować przed nią zakazu?

– Mówił, że czyni to z obawy o mnie. W gabinecie przechowywać ma rozmaite przyrządy naukowe i preparaty, z którymi należy się obchodzić nadzwyczaj ostrożnie.

– Hm... być może. A teraz na koniec pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Jest trochę kłopotliwe, lecz może ułatwi mi zadanie. Czy stosunki małżeńskie państwa są serdeczne?

– Kocham go i uwielbiam. Jest dla mnie dobry, na niczym mi nie zbywa.

– Przepraszam – o tym nigdy nie wątpiłem. Lecz chodzi tu o stosunki płciowe.

Pani Wanda lekko zarumieniała się, odpowiedziała z zakłopotaniem w głosie:

– Pod tym względem należymy do wyjątków. Można by uważać nas za anormalnych: obcujemy rzadko, przy czym nie odczuwamy szczególnej rozkoszy. W ogóle co do mnie, nie uważam aktu płciowego za integralną część współżycia małżonków.

– No tak, rzecz zapatrywania i organizmu.

I na tym zakończyłem posiedzenie, prosząc nadal o częste porozumiewanie się ze mną, konieczne do zamierzonej współpracy. Przyrzekła z wdzięcznością w oczach.

Jakoż od owego popołudnia widywaliśmy się codziennie. Profesorowa zdawała relacje ze swoich spostrzeżeń, które zestawiałem z własnymi, przy czym uzupełniały się i tłumaczyły nawzajem znakomicie.

Jeszcze tego samego wieczora zabawiłem się w detektywa. Chcąc mieć na wszelki wypadek swobodę ruchów w obecności Czelawy i domniemanego „sobowtóra, ucharakteryzowałem się do niepoznania w stylu *à la canaille* i w wyniszczonym mocno ubraniu czekałem na platformie schodowej.

Po dziesiątej, jak zwykle, otworzyły się drzwi gabinetu profesora i z wnętrza wysunęło się tajemnicze indywiduum. Przeczekałem, aż wyszedł za bramę, po czym przy pomocy własnego klucza wymknąłem się za nim na ulicę.

Szedł szybko w stronę podmiejskich bulwarów, od czasu do czasu oglądając się ostrożnie; wtedy kryłem się za drzewa lub domy, dopóki nie weszliśmy w strefę ludniejszą. Tu byłem już swobodny. Obdartus kluczył po pluga-

wych uliczkach, zanurzał się w jakieś kręte zaułki, gubił w typowych wielkomiejskich *culs de sac* bez wyjścia, ciemnych i ponurych.

Widocznie był w tych stronach postacią popularną, bo co parę kroków spotykał znajomych, równie jak on wytartych rzezimieszków, którzy witali go serdeczno-grubiańskimi przydomkami. Parę razy ku niemałemu zdziwieniu obilo mi się o uszy imię Stachur.

Wreszcie włóczęga zawinął do jakiejś wielce podejrzanej oberży z charakterystyczną wywieszką: „Gospoda pod Rudą Bertą”. Z wnętrza dochodziły już na znaczną odległość pijackie krzyki i śpiewy podochoconych gości. Obejrzawszy raz jeszcze dokładnie rewolwer, ukryty w kieszeni mego postrzępionego surduta, i ja z kolei wszedłem do tego ziemskiego eldorado.

Pierwsze spojrzenie rzucone dookoła pouczyło o tym, gdzie jestem: byłem w jednej z najohydniejszych nor, w jednej z tych tajemniczych kryjówek, w których wylęga się zbrodnia i jej towarzyszki. W niskiej, beznadziejnie brudnej izbie poruszało się poprzez gęstą mgłę dymu z cygar, fajek i papierosów kilkanaście osób mieszanej płci. Kilku mężczyzn o twarzach zbójeckich grało pod oknem w karty, inna grupa ćmiła zapamiętałe tytoń przy pełnych szklankach absyntu; z kątów odzywały się cyniczne śmiechy baraszkujących dziewczek przerywane szerokim rechotem wielbicieli. Jakaś kobieta na wpół obnażona tańczyła na stole w takt przygrywających mandolin. Za bufetem drzemała młoda jeszcze, lecz już wyniszczona dziewczyna.

Usiadłem przy jednym ze stołów i zażądałem wódki. Trzeba było od razu wejść w tempo „Rudej Berty” i wstępnym bojem zdobyć sobie prawo obywatelstwa. Zacząłem wtórować dźwiękom instrumentów głosem chrapliwym,

sztucznie wyuzdanym, improwizując piosenki zaprawione wisielczym sentymentem.

Sukces był zupełny. Otoczono mię wśród oznak uznania. Po chwilowej przerwie nastąpiły tłumne pytania i indagacje. Przedstawiłem się jako zbiegły z więzienia włamywacz z bogatą i płodną w epizody przeszłością. Rozpoczęła się serdeczna pogawędka, w której wysilałem się na grube dowcipy i opowiadając setne kawały z tysiąca i jednej zbrodni, swoje przejścia z władzami, awantury z agentami policji i tym podobne. Równocześnie śledziłem niepostrzeżenie „sobowtóra”. Ten w chwili mego wstąpienia w progi oberży stał w środku izby okolony gromadą towarzyszy, którym powiadał coś arcyzabawnego, bo od czasu do czasu wybuchali salwami śmiechu: brat Stachur był widocznie bardzo dowcipny.

Mogłem teraz przy świetle bliżej mu się przyglądnąć, oto po troskliwym przeprowadzeniu obserwacji stwierdziłem z zadowoleniem, że tego człowieka stanowczo nie można było nazwać sobowtorem profesora Czelawy. Był wprawdzie zadziwiająco doń podobny, lecz nie identyczny. Staranna analiza rysów usuwała wszelkie wątpliwości. Równocześnie miało się wrażenie, że różnice między twarzą Czelawy i brata Stachura wytworzyły się jakby dopiero czasem; mimo woli nasuwała się myśl, że obaj mieli kiedyś twarze najzupełniej jednakowe, które później wskutek odmiennych kolei życia uległy zróżnicowaniu, zatrzymując w liniach zasadniczych elementy wspólne. Przyczyny tego rozdźwięku mogły leżeć zarówno w przejściach duchowych, jak fizycznych. Oblicze Stachura nosiły ślady rozpusty i nocnych hulanek; spod wspaniale sklepionego czoła Czelawy wyzierały jego głębokie oczy, lecz jakby znieprawione obcym mu wyrazem – inteligencja uczonego weszła

tu w dziwaczny sojusz z rozbestwieniem. Były to dwie nader do siebie podobne, lecz przecież różne osobowości.

Zauważyłem nadto jeszcze inne, silniej zaakcentowane różnice. Przez czoło Stachura biegła podłużna rysa, jak od rozcięcia ostrym narzędziem lub szkłem, zapewne ślad jakiejś awantury, w które bez wątpienia obfitowało jego życie. Lecz najbardziej zastanawiał jeden szczegół, który od razu wpadał w oko. Profesor utykał na nogę prawą, gdy ruchy Stachura zdradzały podobne ułomności, lecz po przeciwnej stronie ciała; kulał wyraźnie na lewą. Ta różnica, a równocześnie podobieństwo dawały dużo do myślenia.

Postanowiłem z kolei dokładniej zapoznać się z jego charakterem i psychiką, na razie poprzestając na obserwacji z daleka.

Zachowywał się głośno, czując się tutaj jak u siebie. Mówił głosem ochrypłym, tonem drwiąco żartobliwym. Wkrótce spostrzegłem, że mimo powierzchowności zupełnie dostrojonej do tła przecież go wyróżniają. Wyglądało to z zachowania się gości, z pewnego półświadomego szacunku, z jakim się doń zwracano. Być może dlatego, że cynizmem przewyższał wszystkich, być może z innej przyczyny. Przechodził od grupy do grupy, przypijał, poklepywał po plecach protekcjonalnie i podniecał do żartów.

W ten sposób zbliżył się i do kilku apaszy siedzących opodal mego stołu. Zaraz zrobiono mu miejsce i podsunęto świeżą szklankę. Jeden z towarzystwa zaczął coś opowiadać. Rzecz zdaje się, zajęła go, rozsiadł się wygodnie i zapaliwszy fajkę, przysłuchiwał się z zajęciem.

Zaciekawiony wyteżyłem słuch, by pochwycić, choć parę słów.

Apasz ze zwyczajnym uśmiechem na grubych wargach opowiadał ohydną historię, w której zwyrodnienie szło o lepsze z bestialstwem. Stachurowi zwierzenia widocznie

bardzo przypadły do gustu, bo ciągle uśmiechał się, dolewał mu wina i przerywał od czasu do czasu pytaniami o szczegóły.

Lecz właśnie te pytania przedstawiały mi go w całkiem nowym świetle. Były dziwnie inteligentne, stawiane, rzekłbym, metodycznie. Gdy tak patrzyłem nań, jak siedział rozparty w krześle z oczyma wlepionymi w narratora, rzucając chwilami jakąś uwagę równie bezwstydną, jak trafną – mimo woli zestawiałem go z prof. Czelawą: Stachur zdawał się wprost badać towarzysza, który, nie podejrzewając dla mnie oczywistej intencji, wywnętrzał się z naiwnie bezwstydną otwartością. Gdy skończył, Stachur bryznął na pożegnanie przejaszczającym żartem i zbliżył się do mego stolika. Widząc to, zacząłem zmyślać dłuższą historię, w której odgrywałem rzekomo pierwszą rolę; mówiłem płynnie, okraszając rzecz stereotypowymi wyrażeniami z gwary podmiejskiej.

Sluchacze spostrzegłszy zbliżającego się brata, przepuścili go bliżej; usiadł obok, nie spuszczać ze mnie oka. Wzrok jego przeszywający, bystry mieszał mię i czułem się nieswój. Lecz Stachur milczał i nie przeszkadzał mi, uśmiechając się czasem nieznacznie. Potem nic nie mówiąc, odszedł w głąb sali.

Gdy się trochę koło mnie przeredziło i gospoda z wolna zaczęła się opróżniać, niespodzianie przysiadł się do mnie, ujmując poufale za ramię:

– No, towarzyszu miły, sądzę, że będziemy przyjaciółmi. Zdaje się, żeśmy z jednego gniazda ptaki.

Myśląc, że to tylko zwykła forma przyjęcia do grona „Rudej Berty”, trąciłem o jego szklankę na znak braterstwa. Lecz wyraz mej twarzy w tej chwili nie podobał mu się widocznie, bo z filuternym uśmiechem zauważył:

– Tylko bez tych stylizowań. Ze mną nie potrzeba. Co innego tamci – wskazał pogardliwie na izbę – my pokrewne duchy; przejrzałem cię na wylot... No – przyznaj się – przyszedłeś tu na studia, co?

Zaskoczony zniechęca, patrzyłem nań w osłupieniu. Powoli zorientowałem się. Nie chcąc grać w zupełnie otwarte karty, zniżonym głosem przedstawiłem się jako jednostka wykolejona, niegdyś literat, obecnie z nędzy i rozpaczyszukający pociechy w napoju i obcowaniu z mętami. Uwierzył.

– Widzisz, bratku, od razu poznałem, że tu się coś święci. No, jakoś pójdzie. Będziemy razem studiowali; może coś z tego wydłubiesz. A warto, bardzo, bardzo. Co za typy, co za ludzie! Panorama obłąkań, pandemonium żądz, wykwit zbrodniczości! Pyszne okazy! Słyszałeś, co ten nożownik spod okna gadał przed chwilą?

Zrobiłem potwierdzający ruch głową.

– A wiesz? – ach – jak się wabisz?

– Kazimierz Dzierzba – zmyśliłem naprędce.

– A wiesz, Dzierzbo, co w tym wszystkim najwspanialszego?

Popatrzyłem pytająco.

– Że żaden z tych dobrych ludzi nie przypuszcza, że ich podpatruję. Niby to się gada, przytakuje, dodaje – a wszystko z premedytacją, według planu, metodycznie. Na pasku ich wodzę.

– Słuchaj no, Stachu – przerwałem – a tobie to na co?

– Z amatorstwa, rozumie się, taki sobie dyletantyzm. Uważasz? – odparł szybko.

– Rozumiem; to cię bawi.

– Tak, tak. Wrodzona skłonność do tropienia ludzkiej podszewki. Zresztą jest mi tu dobrze. Potrzebuję ich, nie

mógłbym już żyć inaczej. Poza tym lubię bagienko. To mój żywioł.

– A dawniej?

– Jak to dawniej? Masz na myśli moją przeszłość. Hm... tak mniej więcej było od najwcześniejszej młodości. Zawsze ciągnęło mnie coś do tych nor. Ot, taki sobie nocny człowiek.

– I to ci wystarcza do szczęścia? Ta nęcza – ten brud?

– Ha, tak się jakoś złożyło. – Posmutniał. – Ale wkrótce to się zmieni. I mnie się też należy mój dział. Postaram się o pieniądze. Patrzył dziko, mściwie, gniewnie.

– Jeszcze poczekam jakiś czas – dodał ponuro – lecz potem... No, ale to ciebie nie obchodzi. Lepiej pogadajmy o czym innym.

I zaczął ze mną formalną dysputę na tle zagadnień psychozy.

Byłem zdumiony. Ten obdartus mówił jak pierwszorzędnego psychiatrę. Znał wszystkie najnowsze teorie, wszystkie badania, eksperymenty, zbijał jedno, prostował drugie. Poglądy jego zabarwione silnym indywidualizmem przypomniały mi zaraz prelekcje Czelawy; były momenty, w których powątpiewałem o istnieniu dwóch odrębnych ludzi: brata Stachura i profesora, stapiając ich w jedno. Lecz iluzja rozpływała się za pierwszym rzutem oka na tę twarz obrzękłą od pijaństwa, porysowaną bliznami, na dźwięk tego głosu ochryplego od nocnych wybryków. Przede mną siedział Stachur, brat Stachur, tylko z kompletnym zasobem prof. Czelawy. Dziwne to było, tajemnicze, lecz rzeczywiste.

Koło piątej nad ranem rozstaliśmy się. On opuścił obierzę pierwszy, ja wychyliłem się w parę minut za nim, zachowując przyzwoite oddalenie. Szliśmy oczywiście w jed-

SPIS TREŚCI

PROBLEMAT CZELAWY	5
SATURNIN SEKTOR	42
OSADA DYMÓW	55
WEZWANIE	85
DZIEDZINA	96
CIEŃ BAFOMETA (POWIEŚĆ)	109
Grom	109
Wizyta w pałacyku przy ul. Jasnej	115
Preludia	134
Weronika	140
Pawełek Kuternóżka	151
Świętokradztwo	173
Amelia	185
Zła godzina	217
U Wrześmiana	231
W przytułku	245
„Gotówem umrzeć – czegoż chcecie więcej?”	257